



OPOWIESCI STAREGO DĘBU

Mercedes Morales

CZ. 1

Mercedes Morales

**OPowieści
STAREGO DĘBU
CZĘŚĆ I**

© Copyright by Mercedes Morales & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Joanna Pasek
ISBN wersja elektroniczna 978-83-7859-060-6
ISBN wersja drukowana 978-83-7859-060-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Dla Laury (11 lat), Nikoli (6 lat)

Od Autorki

Nasza przygoda z baśniami zaczęła się kilka miesięcy temu, kiedy moja bratanica Laura musiała napisać opowiadanie do szkoły pod tytułem „Historia mojej rodziny w postaci baśni”.

Tak powstała baśń Laury „Mój prapradziadek Maciej”.

Żeby Nikolka nie czuła się pokrzywdzona, dla niej napisałam baśń pod tytułem „Zagubiony Łoś”.

Mam nadzieję, że czytanie baśni przyniesie Wam tyle samo radości, ile mnie dało wymyślanie ich specjalnie dla Was.

Mój prapradziadek Maciej

Nazywam się Laura, mam 10 lat i chodzę do IV klasy. Jestem uczennicą taką, jak miliony dzieci w całej Polsce, ale mam wyjątkową historię rodzinną.

Jest ona niezwykle ciekawa i fascynująca. Choć minęły tysiące lat, wszystkich członków mojej rodziny łączy jedno: MIŁOŚĆ DO ZWIERZĄT I PRZYRODY.

Dawno, dawno temu mój prapradziadek był łowczym na dworze króla. Do jego obowiązków należała ochrona królewskich lasów i zwierzyny przed kradzieżami.

Zbliżała się jesień, król planował zorganizowanie wielkiego jesiennego balu. Zażądał od mojego prapradziadka, aby dostarczył mu na pieczęć najpiękniejsze zwierzę, jakie spotka w lesie.

Maciej, bo tak miał na imię mój prapradziadek, wybrał się na polowanie. Nie chciał rozczarować i rozgniewać króla, który znany był ze swego okrucieństwa.

Tego dnia las wyglądał wyjątkowo pięknie, liście migotały bajkowymi kolorami.

Coś oślepiło Macieja. Początkowo myślał, że to słońce, które prześwituje między drzewami. Kiedy jednak dokładnie się przyjrzał, jego oczom ukazało się coś niesamowitego. Po polanie biegał przepiękny jednorożec. Maciejowi zabłyszczały oczy, podniósł strzelbę i już chciał zabić zwierzę, kiedy dopadły go wątpliwości.

— Czy królewska pochwała warta jest tego, aby zabić tak cudowne stworzenie, z którego na dworze zrobią pieczęć? Z pewnością nie! — podjął szybką decyzję, przewiesił broń przez ramię i podkraść się bliżej, aby podziwiać z ukrycia jednorożca.

Nagle na polanę wbiegły dwa kolejne jednorożce. Tym razem jeszcze dzieci. Widok zapierał dech w piersiach. Maciej ze zgrozą zauważył, że oto po drugiej stronie polany na drzewie siedzi królewski syn i mierzy w jednorożca.



Zagubiony Łoś

Dawno, dawno temu za górami, za lasami na pięknym wzgórzu znajdowała się wioska niezwykłych Łosi, które uwielbiały śpiewać, tańczyć, a przede wszystkim posiadały niezwykły dar uzdrawiania. Ich zdolności słynne były na całą okolicę.

Każdego dnia do wioski przyjeżdżali ludzie potrzebujący pomocy. Przychodziły też chore lub zranione zwierzęta z lasu. Łosie, które były niezwykle pracowite, nie zostawiły nikogo potrzebującego bez pomocy.

Wioska tętniła życiem od samego rana. Piękne fioletowe domki Łosi z białymi oknami i dachami lśniły czystością. Ogródki obok nich były piękne i zadbane. Pola ziołowe były ich największym skarbem. To tu spędzali najwięcej czasu. Pielęgowali je z olbrzymim poświęceniem. To z nich robili swoje magiczne lekarstwa.



Dzieci już w przedszkolu uczyły się nazw ziół o och
właściwości leczniczych.

Lolo, najmilszy, najmłodszy z przedszkolaków,
a zarazem największy rozrabiaka był wnuczkiem naj-
starszego z Łosi. Jego dziadek Teo był przywódcą ich
klanu. Lolo uwielbiał włóczyć po lesie w jego towarzy-
stwie. Dziadek Teo był najstarszym, a zarazem najpo-
tężniejszym Łosiem. Znał wszystkie tajemnicze zaklę-
cia, magiczne, uzdrawiające mikstury. Wszystkie stare
księgi z recepturami był w jego posiadaniu.

Teo potrafił opowiadać w tak zajmujący sposób, że
Lolo, zamiast siedzieć w przedszkolu, zbaczał z drogi
I szukał dziadka.

Pan Łoś i Pani Łosiowa nie byli z tego zadowoleni,
ale Lolo potrafił tak się przymilać robiąc słodkie min-
ki, że wybaczano mu wszystkie wybryki.

Także teraz wędrując z plecakiem do przedszkola
z rozmarzeniem patrzył na niebo. Było piękne, błękit-
ne, bez jednej chmurki.

– W taką pogodę mam siedzieć w zamknięciu i się
uczyć? Mogę pouczyć się na świeżym powietrzu – po-

stanowił mały Łoś, zbacając z drogi wiodącej do przedszkola.

Schował plecaczek w dziupli starego drzewa i z uśmiechem na twarzy pognął leśną ścieżką na poszukiwanie dziadka i przygód.

Niestety, w żadnym z ich ulubionych miejsc go nie było. Rozczarowany rozejrzał się po polance, na której stał i nagle zobaczył pod drzewem pięknego prawdziwka.

„Mama się ucieszy, no i nie będzie krzyżeć na mnie, za to, że nie poszedłem do przedszkola, jeśli przyniosę jej tak pięknego grzyba” – pomyślał Lolo i zerwał go.

Zobaczył następnego i następnego, grzybów było coraz więcej. Wyciągnął z kieszeni wielką chustę, którą Łosie zawsze nosiły przy sobie, związał w supełek i przewiesił sobie przez ramię. Zbierał grzybki, chusta napełniała się w błyskawicznym tempie.

Wszedł w głąb lasu. Zajęty zbieraniem prawdziwków nie zauważył, że zбочzył z drogi.

Spostrzegł to dopiero, kiedy chusta była pełna, ale było już za późno. Nie wiedział, gdzie jest, nie miał pojęcia jak wrócić do znanych mu miejsc.

Nagle coś zobaczył. Pod drzewem stało pięciu różbójników. Mały, ufny Łoś chciał ich spytać o drogę, ale oni wcale nie mieli ochoty mu pomóc. Rzucili się na niego z siekierkami.

Przerażony Lolo zaczął uciekać między drzewami, po drodze gubiąc zawartość chusty. Udało mu się tylko schować ją do kieszeni. Wiedział, że nie ma szans. Byli więksi, silniejsi od niego, no i było ich pięciu, a on był tylko dzieckiem.

Mimo to postanowił dzielnie walczyć. Zatrzymał się, złapał kamień w rękę, obrócił się, napiął mięśnie. Różbójnicy stanęli, zaczęli krzyczeć i uciekli.

„Ojej, ale ich przestraszyłem” – pomyślał Lolo i napiął z dumą swoje mięśnie.

Pewnie stałby tak dalej podziwiając je, gdyby nie zobaczył cienia.

Odwrócił się i wszystko zrozumiał, oto zbliżała się do niego podła wiedźma Honorata.



Anuszka i sześć chusteczek

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami w przepięknej krainie zwanej Złocistym Królestwem żył król Aleksander wraz z żoną Zofią i maleńką córką o imieniu Anuszka.

Poddanym króla Aleksandra żyło się bardzo dobrze, niczego im nie brakowało.

Prapradziadek Aleksandra, Aleksander zwany Hojnym, był zapalonym podróżnikiem.

Podczas jednej ze swych licznych podróży odkrył wyspę skarbów. Nigdy nikomu nie zdradził, gdzie ona się znajduje. Domysłem nie było końca. Wielkimi wozami zwoził skarby do pałacu w towarzystwie swych najbardziej zaufanych ludzi. Legendy o olbrzymim skarbie zgromadzonym w Złocistym Królestwie, krążyły po całym świecie. Coraz więcej władców innych kró-

lestw patrzyło chciwym okiem na dobrobyt i bogactwo Aleksandra Hojnego oraz jego poddanych.

W końcu zaczęli napadać Złociste Królestwo, próbując zagarnąć je wraz z całym skarbem dla siebie. Żadnemu to się jednak nie udało. Wojska Aleksandra Hojnego były silne i dobrze uzbrojone. Każdy atak wrogich państw odpierały w błyskawicznym tempie.

Tylko jeden z nich podstępem dotarł aż do pałacu. Arnold I – podły władca sąsiedniej krainy zwanej Alandią. Schwycił w lesie kilku rycerzy Aleksandra i w ich ubraniach udał się w kierunku pałacu. Kiedy dotarł do bram zamku, pewny był zwycięstwa. Wewnątrz było niewielu rycerzy, w przeważającej części były tam tylko dzieci, kobiety i staruszkowie. Większość rycerzy była na polu bitwy wraz z królem, pałacu broniła niewielka grupka mężczyzn.

Arnold I zacierał ręce i zerkał z chciwością na wrota zamku. Nikt mu ich jednak nie otworzył, strażnicy rozpoznali jego twarz i z daleka poinformowali królową, a wszyscy mieszkańcy Złocistej Krainy schronili się w tajemnym podziemiu. Arnold I zaskoczony tym, że nikt mu nie otwiera bram, rozkazał swoim ludziom

zbudować drabinę. Po niej dostali się do opuszczonego pałacu.

Rozwścieczony Arnold przeszukał wszystko. Nie znalazł nic, ani żywej duszy. Zamek był pusty, w kuchni gotował się obiad, stół był nakryty. Zajmował pałac przez kilka dni, aż do króla Aleksandra dotarły wieści o jego podstępie.

Król wrócił do pałacu i odbił swoją własność, przegnawszy wrogie wojska ze swojego terytorium.

Minęły setki lat i nikt więcej nie odważył się napaść ponownie na Złociste Królestwo. Wszyscy nadal z zawieszcą patrzyli na coraz bogatszą i rosnącą w siłę krainę, ale na tym się kończyło. Panował pokój.

Do czasu.

Królewska para spacerowała w ogrodzie w towarzystwie roześmianej Anuszki, kiedy minister wojny podbiegł do króla i z przerażoną miną powiedział:

- Wybacz, panie, przynoszę złe wieści:
- Co się stało? — odparł król.

— Wojska Arnolda IX zaatakowały północną część kraju. Pałą wioski, kradną, biorą jeńców. Rycerze broniący granic nie byli w stanie go zatrzymać, jest silny. Co robić, Panie?

— Szykujemy się do wojny — zdecydował król.

Aleksander wyruszył na wojnę, królowa wraz z Anuszką została w pałacu pod ochroną najwierniejszej służby i grupy żołnierzy.

Każdego dnia wchodziły na najwyższą wieżę pałacu i czekały z trwogą na sokoła, który przynosił im w swoich szponach list od króla, informujący je o sytuacji. Niestety, te wieści nie były dobre. Arnold IX był tak silny, że aż budziło to przerażenie. Niszczył wszystko, co spotkał na swojej drodze.

Anuszka spędzała wiele dni ze swoją matką i nianią Jadwigą, wykonując robótki ręczne. Królowa Zofia słynęła ze swych „złotych dłoni”, cokolwiek wzięła w ręce, efekt końcowy zapierał dech w piersiach.

Tego dnia królewski sokół nie przyniósł wiadomości. Było paskudne deszczowe popołudnie. Anuszka wraz z matką i nianią zerkwały z nadzieją na niebo,

oczekując Filipa. Królowa miała zatroskaną twarz. Czowała się bardzo nieszczęśliwa. Bała się, przecucie mówiło jej, że wydarzyło się coś złego. Nie chciała jednak niepokoić Anuszki.

Mała królewna z rozczarowaniem zerkała na niebo, tym razem jej ukochany tatuś nie przysłał jej listu.

— Mamo, dlaczego nie widać Filipa? — spytała dziewczynka swoim melodyjnym słodkim głosem.

— Nie wiem, moja maleńka. Może wiatr i deszcz uniemożliwiły mu lot. Poczekajmy do jutra. Wrócimy do pałacu, ogrzejemy się przed kominkiem z filiżanką gorącej czekolady, którą tak lubisz.

Anuszka zapiszczała z radości – zakręciła się i zanim królowa czy niania zdążyły coś powiedzieć, pobiegła ze śmiechem w kierunku schodów.

Wtedy królowa odezwała się do swojej wiernej służącej:

— Droga Jadwigo, martwię się, czuję, że wydarzyło się coś złego. Ty jesteś jedyną osobą, której ufam bezgranicznie. Potrzebuję twojej pomocy, przyjdź dziś wieczorem do mojej komnaty, kiedy Anuszka zaśnie.

Wieczorem Jadwiga zjawiała się w komnacie królowej.

Zofia siedziała przed kominkiem otulona ciepłym kocem, a po jej pięknej twarzy spływały łzy. W rękach trzymała robótkę. Stara służąca podeszła do swej Pani i objęła ją. Była dla niej jak matka, wychowała ją, a teraz dbała o Anuszkę.

— Nie płacz, królowo, wszystko będzie dobrze — powiedziała Jadwiga.

— Nie będzie, czuję to, dlatego cię wezwałam. Musisz zabrać Anuszkę w bezpieczne miejsce. Jutro zaczniemy przygotowania do waszej podróży.

— Pani, nigdzie nie pojedę bez ciebie, albo uciekamy wszyscy, albo zostajemy tu.

— Nie, ktoś musi zostać na zamku, nie mogę zostawić poddanych samych sobie. Króla nie ma, to ja odpowiadam za ich bezpieczeństwo. Uciekniesz podziemiami, nikt nie może was zauważyć.

— Możemy wszyscy zejść do podziemnego królestwa i tam czekać na powrót Aleksandra — odparła Jadwiga.

Popychadło

Był mroźny, zimowy wieczór, kiedy wiedźma Amelinda wkroczyła na teren królestwa króla Wiktora i królowej Magdaleny. Rzucała czarami na prawo i lewo, niszcząc wszystko wokół siebie.

Wpadła do zamku i swoimi zimnymi jak lód oczami zmieniła wszystkie napotkane osoby w kamienne posągi. Cały pałac wypełnił się kamiennymi figurkami.

Kucharz, który właśnie próbował przygotowanej przez siebie potrawy zastygł z łyżką w dłoni, tak samo jak służąca zamiatająca właśnie korytarz oraz cała reszta ludzi pracujących na zamku. Wszyscy zapadli w kamienny sen.

Czarownica udała się do komnaty królewskiej pary. Nie zastała ich tam jednak, więc rozkazała swoim ludziom ich znaleźć. Sama zaś udała się do kuchni, gdzie roznosił się wspaniały zapach.

Czarownica podeszła do garnka, omijając po drodze kilka pomocy kuchennych i spróbowała potrawy.

— Cudowna! — zawołała wiedźma, po czym wzięła z półki talerz i napełniła go do pełna.

Potem sięgała do kolejnych garnków, zajadając się znajdującymi się w nich smakołykami. Doszła do wniosku, że kucharza odczaruje jako pierwszego, bo rewelacyjnie gotuje.

Jej rozmyślenia przerwał wbiegający do kuchni błazen, który krzyknął:

— Pani, oni są na przejażdżce saniami.

Słyszając to Amelinda uniosła się w powietrze i udała królewskiej parze na spotkanie.

Orszak królewski wyjeżdżał właśnie z lasu.

— Stać — krzyknęła wiedźma.

— Zejdź, kobieto, z drogi królowi i królowej — rozkazał jeden z rycerzy.

— Nie mam ochoty, od tej pory to ja jestem tu królową — powiedziała wiedźma.

— Co tam się dzieje? — spytała królowa.

— Nie mam pojęcia — odparł król i zawołał jednego ze swych rycerzy.

— Panie, jakaś kobieta wyglądająca na czarownicę mówi, że przejmuję władzę nad królestwem.

— Zamknijcie ją w lochach — rozkazał król wysiadając z sań, królowa Magdalena patrzyła z lękiem na śpiącego królewicza Jasia i na jego nianię.

Ta, czując zbliżające się niebezpieczeństwo, wzięła małego księcia na ręce i wysiadła niepostrzeżenie z sań, po czym schowała się za drzewem.

Tymczasem król krzyknął:

— Brać ją!

— Ha! Ha! Ha! — zaśmiała się Amelinda i zamieniła wszystkich rycerzy w kamienne posągi, po czym dodała: — Przejmuję władzę nad twoim królestwem. Zamieniłabym Was też w posągi, ale to byłoby zbyt łaskawe, z mojej strony. Chcę abyście czuli cierpienie.

Wypowiedziała zaklęcie i zamieniła królewską parę w dwa dęby, a następnie udała się do zamku, gdzie odczarowała służbę i rozkazała im jej służyć.



Amelinda rozglądała się z zadowoleniem wokół siebie.

— Tak, to wszystko jest teraz moje.

Z dumą przymierzała wszystkie suknie królowej i jej biżuterię. Oglądając pałac dotarła do pięknie urządzonego pokoiku. Jej oczom ukazała się kołyska. Dziecko? Królewskie dziecko! Trzeba je zgładzić! — pomyślała wiedźma i podeszła do kołyski. Ta jednak okazała się pusta. Wściekła Amelinda pognała do służby.

— Gdzie jest dziecko?

— Nie wiemy — odparły zgodnie z prawdą służące.

— Było na przejażdżce z królową i królem, nie wiemy gdzie jest.

— To chłopak czy dziewczynka?

— Chłopak!

Ludzie wiedźmy wyruszyli na poszukiwanie małego królewicza.

Tymczasem zmarznięta Anna dotarła do zamku. Weszła niepostrzeżenie tylnym wejściem do pokoju dla służby. Zawołała swoją córkę, która pracowała

w kuchni, a jej mąż był stajennym w królewskich stajniach. Podąła im smacznie śpiącego księcia na ręce i kazała mówić wszystkim, że to ich dziecko – dziewczynka. Ze strachu przyniosła ubranka, które nosiła jej córka i przebrali księcia. Cała służba chroniła księcia. Nazwali go Joasią. Mały rósł jak na drożdżach.

Kiedy wiedźma nie widziała, podsuwali mu najlepsze smakołyki. Zapuszczono mu włosy, a że był ładny, wyglądał rzeczywiście jak dziewczynka.

Nikt nie domyślał się, że mają pod nosem prawdziwego księcia. Poganiano go i dokuczano mu przy byle okazji..

– Umyj schody!

– Nanoś wody!

– Nazbieraj kwiatów dla Amelindy.

– Odsuń się, niezdaro – naśmiewali się z niego ludzie wiedźmy.

Często podstawiali mu nogi, popychali. Przewracał się, ale znosił wszystko z pokorą.

– O, nasze popychadło już wstało – naśmiewali się



rycerze więdźmy.

— Napój nasze konie.

Biedne dziecko całymi dniami ciężko pracowało. Kiedy wreszcie nadchodził wieczór było tak zmęczone, że usypiało od razu. Kucharki, pomywaczki, pokojówki wszyscy go uwielbiali, bo był bardzo dobrym i uczciwym dzieckiem. Chronili go przed wzrokiem Amelindy, trzymanie księcia pod nosem więdźmy było bardzo niebezpieczne, od lat wszyscy go szukali.

Tyle, że szukano ośmioletniego chłopca, a nie dziewczynki.

Jasiu tymczasem pracował całymi dniami, nie mając pojęcia, że tak naprawdę całe królestwo należy do niego. Kiedy było mu źle, a ludzie więdźmy dokuczali mu, uciekał do lasu i siadał pod dwoma wielkimi dębami. Dziwnie dobrze czuł się w ich cieniu. Często wdrapywał się na drzewo i usypiał na gałęzi.

Chłopak stajenny, widząc, że popychadło tak bardzo lubi to drzewo, zbudował dla niego wysoko, wśród gałęzi malutki domek. Kiedy Jasiu to zobaczył, zapiszczał

z radości. Od tej pory mógł tam spać nawet wtedy, kiedy padał deszcz.

Pewnego dnia ludzie wiedźmy dokuczali mu szczególnie dotkliwie. Płacząc Popychadło pognało do lasu. Na drzewie siedziała wiewiórka, która widząc go wdrapującego się na drzewo groźnie zasyczała.

— Zmiataj z mojego terytorium, mała.

— To mój domek — odparł Jasiu.

— Nie, już nie, teraz należy do mnie. No, dobrze. Zróbmy zawody — powiedziała cwana i pewna swojej wygranej wiewiórka. — Kto pierwszy wdrapie się na drzewo i wejdzie do domku ten wygrywa.

— Dobrze — zgodził się Jasiu, ale wiedział, że z wiewiórką nie wygra.

— Start! — krzyknęła wiewiórka, sprytnie wskakując na jedną z gałęzi.

Nagle drzewo się zatrzęsło i wiewiórka spadła na ziemię. Jasiu nie potrafił ukryć zdziwienia. Za każdym razem, kiedy wiewiórka wskakiwała na gałąź prowadzącą do domku, drzewo zrzucało ją.

Na zamek wprowadziła się też Cytrynka, wszyscy żyli w zgodzie i przyjaźni, aż do czasu, gdy...

Truskaweczki

Dawno, dawno temu za górami, za lasami w wielkim lesie na wzgórzu nieopodal rzeki mieszkały leśne skrzaty, nazywano je „Truskaweczki”. Miały wielkie, szczerze oczy, wiecznie roześmiane buźki, uszy, które rozkładały się jak wachlarz.

Dachy ich słomianych domków pięknie błyszczały w słońcu. Truskaweczki były farmerami, zajmowały się uprawą nie, czego innego, jak truskawek.

Obok wioski na wzgórzu znajdowały się ich olbrzymie plantacje.

Kiedy jedne pracowały przy uprawie owoców, inne jeździły do pobliskiego miasteczka na jarmark je sprzedawać. Z tego żyły.

Truskawka Maik właśnie jechał przez most do domu. Był przepiękny słoneczny dzień.

— Wspaniała pogoda, owoce będą pięknie dojrzewać w słońcu – pomyślał Maik. Poprawił kapelusz i otarł pot z czoła.

Tego dnia sprzedał swój towar wyjątkowo szybko, było dopiero południe, postanowił chwilkę odpocząć.

Kiedy koń skubał trawę, on leżał na trawie i delektował się ciepłymi promykami słońca muskającymi mu po twarzy. Tą cudowną chwilę przerwał mu przeraźliwy krzyk:

— Pomocy!!!

Zerwał się i pobiegł do miejsca, z którego dochodziło wołanie. W dziurze wśród skał siedziała biała truskawka w czerwone kropki. Maik przeraził się i teraz to on zaczął krzyczeć.

— Epidemia! Ratuj się, kto może!

— Jak epidemia?! Co ty za bzdury opowiadasz! Pomóż mi!

— Nie, bo mnie zarazisz, strasznie wyglądasz, taka bladziwna jesteś.

— Przestań głupoty wygadywać, pomóż mi stąd wyjść. Nie jestem chora, jesteśmy nową odmianą, przybyliśmy niedawno w te okolice, zbudowaliśmy naszą wioskę niedaleko stąd. Chciałam przywieźć kilka kamieni do dekoracji ogródka. Zobacz, tam pod drzewem stoi mój wózek – powiedziała nieznajoma.

Maik zerknął i rzeczywiście zobaczył stojący nieopodal wózek do połowy napełniony białymi kamieniami.

— Dobrze, pomogę ci stąd wyjść, wezmę jednak gałąź, bo ci nie ufam, nie chcę cię dotykać. Trochę już żyję na tym świecie, ale czegoś takiego jak biała truskawka jeszcze nigdy nie widziałem – powiedział Maik.

Kiedy nieznajoma stanęła obok niego, mógł ją sobie dokładnie obejrzeć.

— Ładna – pomyślał.

— Witaj, dziękuję ci za pomoc. — Ukłoniła się truskaweczka.

— Jestem Alicja, a ty?

Spis opowieści:

Od Autorki.....	6
Mój prapradziadek Maciej.....	7
Zagubiony Łoś.....	26
Anuszka i sześć chusteczek.....	67
Popychadło.....	105
Truskaweczki.....	133